
Przebudzenie senority Prim

Natalia Sanmartin Fenollera, *Przebudzenie
senority Prim*, powieść hiszpańska, 2013

Mój stosunek do tej książki zaczął się od wzgardy, a przechodząc przez krytykę i uznanie, doszedł do entuzjazmu. Mówiłam sobie: nie będę czytać literatury kobiecej, a już na pewno nie przeczytam pamiętniczka pensjonarki! Rzeczywiście, świat powieściowy klei się od „ładności”: drażnią stare domki obrośnięte różami, picie gorących czekolad przy kominku, sztuczna grzeczność lokalnej społeczności, adoracja rzeczy rzadkich i znakomitych (w rodzaju czytania Bedy Czcigodnego po porannej Mszy w klasycznym rycie rzymskim), pretensjonalne dzieci, a w końcu nieznośny bohater, który włada dziesięcioma martwymi językami (nie wiedziałam, że jest ich więcej niż trzy).

Krytyka przyszła wtedy, gdy stwierdziłam, że *Przebudzenie* (to jakiś de Mello?) przypomina kobiecego bloga i z tego powodu nie radzi sobie z treścią. Mówiłam: szkoda, że autorka nie wie, że ciasto proszkowe nie podniesie zatopionych w nim wiśni; do tego trzeba organicznej mocy drożdży! Zwłaszcza że kaliber tematów jest naprawdę ciężki: hierarchia płci i feminizm, małżeństwo, tożsamość kobiety w zderzeniu ze światem męskim, wiara i ateizm, prawda i iluzja, modele wychowania, jakość życia społecznego, źródła gospodarki... Na tym etapie już jednak wiedziałam, że

książka jest nie tylko o „odnajdywaniu rzeczy prostych”, jak chcą wydawcy. Tu było coś więcej – znacznie więcej.

Uznanie przyszło z chwilą, gdy dostrzegłam, że wszystko jest na swoim miejscu: że forma doskonale mieści przekaz, bo to powieść z kluczem, a może i nawet powieść detektywistyczna, tylko taka bez zwłok, natomiast z ofiarą – jak najbardziej. Coś mi mówiło, że mieszkańcy miasteczka nie bez powodu są jacyś dziwni, że „mężczyzna z fotela” musi być zarazem surowy i „najlepszy”, że ważną postacią jest matka i że przyjaciel ma zwyczaj zjawiać się zawsze w krytycznych momentach. Uważnie czytając, odkrywałam, że od początku ktoś tu mówi przez znaki i że w końcu wszystko zostaje wyjaśnione samą dynamiką intrygi. Wszystko – z zagadką formy włącznie, bo gdzieś w połowie autorka mruga okiem, mówiąc: nie jestem Jane Austen, ale nie daj się nabrać na kicz (którym, już w samym tytule, okazał się *Demon i panna Prym* Paola Coelho).

Więc mój entuzjazm w końcu wybuchł, gdy cierpliwie układając puzzle, nabierając pewności co do pierwszych przeczuć, rozszyfrowałam zagadkę. A jest nią przeniknięte każde zdanie, każde słowo tej inteligentnej, oryginalnej i mądrej powieści. *Przebudzenie*, panny, Prim. – Co? Kogo? Do czego? Oczywiście nie powiem, żeby nikomu nie zepsuć zabawy. Powiem tylko, że najgłębsza warstwa (bo warstw jest kilka) kojarzy mi się z doświadczeniem rodaczki naszej autorki, która pracowała w branży palonego cukru, a także z wier-

szami jej młodszego współpracownika (ale nie do niej).

Książka dla kobiet? Owszem, i to jaka! Rzecz, która skrzy się odniesieniami do najlepszej literatury angielskiej, zwłaszcza kobiecej. Książka dla mężczyzn? Jest szansa, że coś załapią, o ile wcześniej czytali św. Benedykta, św. Tomasza, bł. J. H. Newmana, a najlepiej, gdyby coś wiedzieli o tajemniczym Johnie Seniorze. Poza solidną literaturą, książka jest bowiem także swoistym testem na płec mózgu: tam, gdzie mężczyźni zainteresuje zachwalany przez panów recenzentów „powrót do człowieczeństwa przez czytanie klasyków”, „sprzeciw wobec nowoczesności”, „Chestertonowski dystrybucjonizm” czy inne konserwatywne „ideolo”, tam dla kobiet najciekawszy będzie jej wielki temat – miłość. Taka hipoteza, do sprawdzenia. ■

Monika Grądzka-Holvoote

Guillaume Dufay, *O gemma lux*

O Gemma Lux, Dufay: *Intégrale des motets isorythmiques*, Huelgas Ensemble – Paul Van Nevel, Harmonia Mundi 901700, 2000.

Spośród wielu znakomitych nagrań zespołu Huelgas Ensemble najświetniejszym jego dokonaniem jest płyta będąca kompletnym zbiorem motetów izorytmicznych Guillaume’a Dufaya, zatytułowana *O gemma lux*. Można powiedzieć, że na tej płycie zebrany jest sam kwiat

osiągnięć muzycznych świata zachodniego całego średniowiecza.

Twórczość Guillaume’a Dufaya (ok. 1400–1474) stoi dokładnie na styku średniowiecza i renesansu. Widać to zwłaszcza w jego motetach izorytmicznych. Izorytmia to technika kompozytorska polegająca na oparciu całej konstrukcji utworu na niezmiennym wzorcu rytmicznym, ukrytym w najniższym głosie. Konstrukcja ta jest oczywiście niesłyszalna dla słuchaczy, ponieważ jest utkana z nut o bardzo długich wartościach rytmicznych, uwagę słuchacza zaś zajmują skomplikowane arabeski i interakcje pomiędzy głosami wyższymi. Jest to jednak typowa cecha muzyki średniowiecznej, która nie jest traktowana jako sztuka mająca mile łechtać ucho, ale jest uważana za naukę wchodzącą w skład *quadrivium*, czyli obok arytmetyki, geometrii i astronomii – jest jedną ze sztuk wyzwolonych, która polega na operowaniu liczbami. Jest zatem nauką, która wcale nie odnosi się do zmysłu słuchu, to jest nauka, która zajmuje się raczej samymi ideami, a jej zmysłowy efekt, jakim jest brzmienie dźwięków, jest czymś w rodzaju jej skutku ubocznego. Spośród ludzkich zaś zmysłów muzyka średniowieczna faworyzuje najbardziej wzrok, gdyż to wzrokiem człowiek może ocenić i docenić konstrukcję rytmiczną i proporcje matematyczne w niej ukryte. Jest to więc chyba ostatni przykład wielkiej polifonii, która została napisana zgodnie ze średniowieczną koncepcją muzyki i w duchu pitagorejskiej czci dla muzyki jako zapisu idei liczb.